№ 50-51. Warszawa, 24 Grudnia 1909 roku. Rok II.

SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY i POLITYCZNY.

PRENUMERATA w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedyńczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową**: Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO" wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji Żórawia 29 m. 2. Tel. 116-67.

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki od g. 2 — 3 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

Czas odnowić Prenumeratę na rok 1910.

ZAPOWIEDŹ NA ROK 1910.

Stojąc wytrwale na stanowisku radykalizmu społecznego i demokratyzmu politycznego, rozpoczynamy nowy rok pracy w warunkach wyjątkowo trudnych i niepomyślnych, dla skutecznej obrony i szerzenia naszych zasad. Niemniej jednak ufność w siły żywotne warstwy społecznej, której niezmiennie służymy, każe nam utrzymać placówkę i prowadzić nadal „Społeczeństwo" w słusznem przypuszczeniu, że obopólne wysilki redakcji i przyjaciół pisma, pozwolą przetrwać okres przejściowy powszechnej reakcji.

„SPOŁECZENSTWO" nadal wychodzić będzie w dotychczasowej objętości. Główną troską na szą pozostanie i na przyszłość treść i kierunek jednolity pisma. W tym celu zgrupowaliśmy odpowiedni zespół pracowników, który tworzą:

Ludwik Kulczycki, Wacław Nałkowski, Cezary Jellenta, Janusz Korczak, Henryk Lukrec, Wincenty Rzymowski, Wacław Wróblewski, Antoni Szech, Marjan Aleksandrowicz, Wacław Makowski, Edward Grabowski, Stefan Kiedrzyński, Iza Zielińska, Czesław Hulanicki, Jadwiga Szczawińska-Dawid, Aleksander Goldring (Powojczyk), Savitri, Jan M. Muszkowski, Jan Dmochowski, Leon Choromański, Jan Władyslaw Dawid, Zofja Rygier-Nałkowska, Hieronim Kon, Tadeusz Michalski, S. Auerbach, N. Gąsiorowska, Aleksy Kurcyusz, Wacława Kiślańska, St. Poraj, Wilczek, Bolesław Szyszkowski, Stefan Lichtenstein, Karol Irzykowski, Emilja Bernsteinowa, Bolesław Rozstański, K. Zalewski, M. Biron, Wanda Szczawińska, Jan Adolf Hertz, Jan Strauss, Wacław Wolski, A. Rząśnicki i inni.

W roku 1910 rozpoczniemy w bezpłatnym dodatku tygodniowym druk słynnego dzieła **Veiningera** p. t. **„Płeć i charakter"**, w którem autor w sposób oryginalny przedstawił istotę sprawy kobiecej w oświetleniu biologicznem i społecznem. Książka ta osiągnęła dotychczas w języku niemieckim 10 wydań.

Prosimy o wczesne nadsyłanie przedpłaty, oraz ponawiamy prośbę o dostarczanie nam adresów osób dla wysłania numerów okazowych „Społeczeństwa".

WARUNKI PRENUMERATY:

	w Warszawie	z przes. poczt.
Rocznie	rb. 7 kop. 60	rb. 9 kop. —
Kwartalnie	„ 1 „ 90	„ 2 „ 25
Miesięcznie	„ — „ 65	„ — „ 75

Adres Redakcji i Administracji:

Warszawa, ul. Żórawia № 29 m. 2. Telef. 116-67.

LORDOWIE I LUD.

Widownią walki społecznej i politycznej stała się obecnie Anglja. Cztery tysiące landlordów i pięciuset parów podniosło burzę na całym obszarze kraju z powodu wiadomego budżetu LloyldGeorge'a. Opodatkowanie kapitału, które państwu przyniesie miljony rozdzieliło społeczeństwo angielskie na dwa nierówne obozy i pobudziło Izbę lordów do uczynienia zamachu na konstytucję, do pogwałcenia prerogatyw Izby niższej, uświęconych paruwiekową tradycją.

Powstaje z popiołów feniks feodalizmu i upomina się o swoje prawa wówczas, kiedy miljonowe masy robotnicze, zrodzone po jego upadku, siłą swego rozwoju przeobrażają stopniowo podstawy państwa, tworzą podwaliny dla nowożytnych rządów demokratycznych i czynią ciągły acz powolny przewrót w umysłach całych odłamów społecznych, popychając je do działalności w duchu ich własnych potrzeb, dążeń i praw, odpowiadających ich sile i rozwojowi. Są to te następstwa głębokiej ewolucji, które ujawniają się w chwilach rozstrzygających starć na gruncie interesów warstwowych i które swoim ogromem przerażają sfery społeczne, będące przeżytkiem ustroju poprzedniego i rozpatrujące istotę teraźniejszości ze stanowiska przeszłości, kiedy to one stanowiły siłę i władzę. I kiedy zmiany te, zachodzące na drodze rozwoju, mają się przyoblec w formy praw, wyrażających nowy stosunek sił społecznych, (tym razem formy praw podatkowych), powstają przedstawiciele feodalizmu w jego odrodzonej strukturze i ze zgrozą rzucają okrzyk: „To nie budżet, to rewolucja!“

Istotnie — to rewolucja. Lecz nie rewolucja chwili, a wieku. I żeby ją złamać, szlachetni lordowie muszą uprzednio wymazać z historji Anglji cały wiek dziewiętnasty. Kapitał przemysłowy zrodził tę rewolucję, stworzył miljony wydziedziczonych i wyklętych, które grożą całości państwa istniejącego. To nie Lloyld George układał budżet, a nieobecna w pałacu Westmisterskim klasa robotnicza, która uczyniła ministra formalnym wykonawcą swej woli. Unionista lord Cawdor podczas obrad w krytycznym dniu 30 listopada w subtelnej przemowie usiłował dowieść, że autorem projektu podatków od renty rolnej jest Snowden i cała partja socjalistyczna, że Lloyld George czerpał wskazówki z programu Independent Labour Party. W twierdzeniu tem jest spora doza słuszności, lecz widoczną ona się staje nie w świetle podejrzeń lordowskich, zawierających dużo cynizmu i obłudy, lecz w świetle wiekowego rozwoju społecznego, który wstawił niektóre paragrafy programu robotniczego do budżetu ministra finansów. Konieczność realizacji dojrzałych reform, będących nieodzownem ustępstwem państwa na rzecz klasy robotniczej, wyniosła na czoło sprawy Lloyld George'a, uwarunkowała i zdecydowała o losach nowouchwalonych podatków. Ta sama konieczność ropędzi kilka tysięcy lordów i pięciuset parów nie gorzej, niż to niegdyś uczynił, pierwszy konsul i dyktator francuski, po to, by zebrać ich ponownie ogołoconych z prawa veta dla uchwalenia tego samego budżetu, który stanie się grobem ich mocno nadwerężonej władzy politycznej. Legalny akt zwrócenia części wartości, która niepomiernie wzrosła dzięki udoskonaleniu i rozszerzeniu środków komunikacji, dokonanych przez państwo, w oczach landlordów uchodzić musi za zamach na własność prywatną.

To jedno uprawnia posiadaczy latyfundjów i wielkich przedsiębiorstw przemysłowych do ogłaszania budżetu za akt przewrotu, w którym jednak jest tyle socjalizmu, ile było w pierwszym billu angielskim w sprawie unormowania dnia roboczego, billa niegdyś również uznawanego za akt rewolucyjny.

Konieczność zrealizowania projektów podatkowych jest równie wielka jak ich popularność w masach i to stanowi mocną i trwałą podstawę, mogącą oprzeć się atakom góry społecznej. Powodzeniu tego dzieła sprzyja nadto wyraźna postawa rządu, który sprawę budżetu związał z losami Izby lordów. Nie mamy tu do czynienia z frazeologją ministerjalną lecz ze stanowczem dążeniem do wypełnienia programu gabinetu. Ta okoliczność sprawia, że partje robotnicze łączą się w obronie praw Izby niższej a wraz z nią i w obronie budżetu Lloyld George'a, z partjami mieszczańskiemi, i choć nie zawrą z niemi sojuszu formalnego, nie mniej jednak akcja ich będzie zbieżna i poniekąd wspólna.

Ten obrót rzeczy w Anglji jest rażąco odmienny od biegu wypadków we Francji, gdzie kilka lat temu utworzenie gabinetu radykalnego miało być wstępem do walki o demokratyzację republiki. Świetna deklaracja Clemenceau zawierająca szereg punktów programu radykalno-socjalistycznego, miała być wyzwaniem pod adresem sfer uprzywilejowanych i konserwatywnych, a jednocześnie apelem do żywiołów istotnie radykalnych i robotniczych w celu zjednania ich dla realizacji zapowiedzianych reform. Lecz zamiast kampanji o deklarację—gabinet zainicjonował krucjatę przeciw socjalistom, co dało powód Briandowi publicznie ogłosić że Francji najpierw potrzebny jest spokój, a potem reformy. Naszym zaś publicystom „postępowym“, mającym wiecznie na ustach „sprawiedliwość“ „humanitaryzm“ i „ludzkość“, obronne stanowisko socjalistów dało powód ogłosić ich za nieprzyjaciół „prawdziwego postępu“, „demokratyzacji“ i „re-

publiki". Publicyści owi, bezkrytycznie operujący temi pojęciami i mający patenty — na właściwe rozumienie postępu, mają sposobność przekonania się, że tam, gdzie sprawa reform liberalnych opiera się na czynie, a nie frazesach solidarystycznych, partje robotnicze biorą czynny udział w ich realizacji. I tam właśnie, dzięki udziałowi tych mas istotnie radykalnych deklaracja nie pozostaje tylko deklaracją. Kto jednak ufa jedynie w magiczną moc i w zaklęcie „sprawiedliwości i humanitaryzmu" musi prędzej czy później znaleźć się w położeniu człowieka, któremu rozsądek i dowcip przychodzą dopiero na „schodach".

H. L.—c.

KONFLIKT KONSTYTUCYJNY W ANGLJI.

Zatarg między Izbą niższą a Izbą wyższą parlamentu angielskiego przyjął tak zaostrzony charakter, że rozwiązanie sprawy interesować poczyna nie tylko już samą Anglję ale wszystkie ludy cywilizowane.

Uwaga wszystkich partji politycznych z natężeniem skierowaną jest na wyspy Wielkiej Brytanji, gdzie ważą się w tej chwili losy jednej z najstarszych instytucji parlamentarnych — Izby lordów.

Zatarg obecny mimo iż bardzo doniosłej dotyka sprawy, nie wywołałby takiego wzburzenia i oburzenia, gdyby nie był związanym z całym szeregiem dawnych zatargów podobnych, mniejszej nieco wagi. Od stu lat prawie zatarg między obu izbami angielskiemi stawał się coraz częstszym ilekroć izba posłów pragnęła przeprowadzić jakąkolwiek demokratyczną reformę. Izba panów zakładała wtedy swoje veto. Jeżeli w końcu ustępowała w wielu wypadkach, czyniła to nie w imię dobra publicznego, lecz z obawy utraty swoich przywilejów.

Walka obecnie toczy się z jednej strony o reformy demokratyczne, o przekształcenie ustroju ekonomicznego, stosownie do nowego układu sił społecznych, w którym lud roboczy i stan średni dominujące posiada znaczenie, i z drugiej strony walka idzie o zreformowanie polityczne państwa o zmianę instytucji państwowych. Dzięki temu podwójnemu charakterowi—zatarg przybrał tak ogromne rozmiary.

Izba panów, składająca się z kilkuset uprzywilejowanych lordów, posiadaczy olbrzymich obszarów ziemskich i niewyczerpanych kapitałów, stanęła przeciwko ludowi, domagającemu się od tych „patrjotów" znaczniejszej ofiary pieniężnej dla kraju.

Społeczeństwo angielskie przez wieki wyzyskiwane ekonomicznie i rządzone przez lordów, starych i młodych, prawych i nieprawych, zaczyna coraz donioślej dopominać się rachunku z nagromadzonych miljardów i pragnie wydostać się z niewoli tego bogactwa. Domaga się ono również, aby bogactwo to obciążonem zostało zobowiązaniem względem kraju na jakie zasługuje. Naród angielski zrozumiał w końcu że karygodny jest stan ekonomiczny społeczeństwa w którym biedni ponoszą wszystkie ciężary cywilizacji, bogaci zaś i najbogatsi— najwięcej z tej cywilizacji korzystający — niczem się do niej nie przyczyniają. Zażądali więc zastosowania do nich zasady solidaryzmu demokratycznego: „chacun selon sa faculté". Na co lordowie odpowiedzieli: „nie pozwalam".

To jest strona ekonomiczna zatargu obracająca się koło pytania, czy lordowie, a z nimi cała klasa bogatych, weźmie równy udział w ciężarach i zobowiązaniach państwowych, nb. państwa burżuazyjnego, czy też jak to bywało dawniej, zwali te ciężary na barki klas najbiedniejszych, dla siebie rezerwując wszystkie możliwe przywileje mini)nych czasów.

Strona polityczna zatargu jest niemniej doniosłą. Anglja należy do państw z ustrojem reprezentacyjnym. Polega on jak wiadomo na tem, że władza zwierzchnia spoczywa w rękach trzech instytucji państwowych, a nie w rękach króla, jak to było za czasów monarchji absolutystycznej. Podział władz w Anglji nie jest radykalny jak naprz. w Stanach Zjednoczonych, jest niemniej demokratyczny. Główne zagadnienie konstytucyjne w państwie z układem reprezentacyjnym zawiera się w pytaniu: kto posiada *rządy* w kraju, król czy parlament, władza wykonawcza czy prawodawcza. W prawdziwych demokracjach—jak naprz. w Szwajcarji rządy należą wyłącznie do władzy prawodawczej, która jako instytucja wybieralna całego ludu (męskiego) tem samem rządy oddaje całemu ludowi. W Szwajcarji bowiem parlament wybiera swych ministrów t. j. sług państwowych, odpowiedzialnych wobec niego za swe czynności. W Anglji faktycznie ministrowie też są odpowiedzialni przed parlamentem, tak że i tu rządy należą do parlamentu, a władza wykonawcza podporządkowaną jest zwierzchnictwu ludowemu. Kto atoli rządzi w parlamencie, Izba panów,

---

8)

W. MAKOWSKI

ZBRODNIE, KARY I SĄDY WYJĄTKOWE.

Ideałem tego pierwotnego sądu, nadspołecznego, jeżeli się tak wyrazić można — była sp awiedliwość,— innemi słowy społeczeństwo marzyło o sądzie, któryby nikogo nie skrzywdził i taki sąd był celem, do którego się dojść pragnęło. Z chwilą zaś nowego określenia roli sądowej, ta „sprawiedliwość" przestaje być marzeniem i celem, a wymagania społeczne idą w innym kierunku. Sąd ma strzedz społecznego interesu,— a społeczeństwo stało się już dziś wysoce złożonym konlgomeratem społecznych interesów, i ta właśnie złożoność, te społeczne prądy i dążenia, umią stawiać rozmaite wymagania takiemu sądowi i oddziaływać nań każde po swojemu.

A wtedy, kiedy w tym społecznym konglomeracie następuje czas jaskrawych różniczkowań, kiedy naraz interes społecznego status quo zdaje się być zagrożony silnie, sam byt nawet nie jest pewny, wówczas sąd— narzędzie zaczyna działać tem usilniej, społeczna władza dnia puszcza w ruch wyjątkowe atrybucje sądowe, aby działalność była sprawnicza, a społeczeństwo, to zróżniczkowane, albo tej wyjątkowej sprawności wymaga i czeka, albo, w drugiej części swojej, oburza się na nią i przeklina, w wielkiej zaś bardzo masie zatyka uszy i oczy, nie chce słyszeć ni widzieć, — niech się czyni, co się czynić musi. A i sąd zamyka drzwi obrad, odgradza się od społecznej interwencji i pełni to, co za swój obowiązek uważa.

Sądy wyjątkowe.

Jeżeli wogóle kara istnieje poto by przerażać, to rzecz prosta, że sądy wyjątkowe, powstałe czasu wyjątkowego rozpowszechnienia się przestępstwa, powinny szerzyć grozą.

Środki, jakie do tego zmierzają są: szybkość i ostrość reakcji.

Ostrość reakcji może być osiągnięta przez stosowanie kar w zwykłych warunkach niedopuszczalnych, szybkość — przez uproszczenie procedury.

Ustawa wyjątkowych sądów wojennych dopuściła karę śmierci.

Skutek: kto nie pamięta i nie będzie pamiętał na lata imion Kasprzaka, Okrzei, pierwszych skazanych

czy Izba posłów? Otóż zwyczaj — ten wszechpotężny twórca państwowości angielskiej, ustalił, iż we wszystkich sprawach rządy należą wspólnie do obydwóch izb. Jedynie co się tyczy spraw finansowych państwa, a więc podziału bogactw, głos decydujący posiadać winna Izba posłów. Tak chce obyczaj. Prawa pisanego na to nie ma. Natomiast prawo nadaje uchwałom każdej izby, niezależnie jednej od drugiej, moc prawodawczą. I dzięki temu, mimo ustalonego zwyczaju, obydwie izby walczą od dawien dawna o faktyczne rządy w państwie. Jak w wielu innych sprawach, tak i w obecnej, zaznaczyło się w wystąpieniach obu izb pytanie, kto ma rządzić w kraju, lordowie, czy posłowie. Dopóki obydwie izby mogły iść razem t. j. dopóki Izba posłów nie wkraczała w mglistą sferę przywilejów posiadania lordów — lordowie zgadzali się na udział w rządach Izby posłów. Ilekroć razy posłowie pragnęli skorzystać ze swego przywileju obyczajowego dzielenia bogactw według pojęć sprawiedliwych i demokratycznych i tem samem podporządkować interesy lordów interesom ogólnym — lordowie odmawiali posłom prawa w rządach. I tym razem rzecz miała się podobnie. Bil finansowy przyjęty przez Izbę posłów, a który stał się powodem zatargu, został odrzucony przez lordów jako „antypaństwowy“, wprowadzający „ustrój socjalistyczny do spokojnych stosunków wielkobrytańskich“, a to dlatego, iż przewiduje on cały szereg wypadków, w których kieszeń lordoska poświęcić będzie musiała trochę groszy na cele społeczne. Oburzeni lordowie zwrócili się do ludu w przypuszczeniu, że to rząd kapitalistyczny króla Edwarda w swych radykalnych zapędach i bez wiedzy ludu stara się „zgubić ojczyznę, wyniszczyć kraj i swemi antypatryotycznemi projektami oddać Anglję na łup wrogom“. Lordowie odrzucając bil odwołali się do całego społeczeństwa—mieli ku temu prawo.

Izba posłów będzie rozwiązana i nowe wybory odbędą się niezadługo. Ale co potem? Jeżeli nowa Izba uchwali bil w formie pierwotnej, a wszystko przemawia za tem: tradycja dawnych tego rodzaju zatargów, oburzenie ogólne na lordów, zamiary rządu, sprzyjające woli ludowej, król ..., co będzie, jeżeli posłowie przedstawią lordom projekt niezmieniony?

Wtedy jedno z dwojga: albo lordowie z obawy przed społeczeństwem ustąpią, albo odrzuciwszy bil postawią sprawę na ostrzu noża. Przyjąwszy bil nie rozwiążą oni konfliktu, jak nie rozwiązały go dawniejsze zatargi, odsuną go tylko na pewien czas, tembardziej, że bil obecny jest tylko początkiem dalszych reform, które coraz bardziej wkraczać muszą w przywileje lordów. I wtedy sprawa znów postawioną będzie jak dziś na ostrzu noża. Co będzie jeżeli lordowie odrzucą projekt? I w tym wypadku rozwiązanie konfliktu może być dwojakie: konstytucyjne i rewolucyjne. Król może wybrać potrzebną ilość nowych lordów, aby ci przegłosowali opornych, byłoby to rozwiązanie zatargu konstytucyjne.

Atoli środki tego rodzaju są paljatywami i w końcu zawodzą.

Nowi lordowie aklimatyzują się prędko i zrzucają sukienkę ludową. Stosować środek ten stale, wprowadzając go w system, znaczyłoby znieść właściwy charakter Izby lordów jako dożywotnich panów, a zrobić z niej obieralną instytucję, w której nie lud, ale król posiadałby wyłączne prawo głosu. Ponieważ prezes ministrów zapowiedział, iż rząd nie ma zamiaru znosić Izby lordów, być więc może, iż nosi się on z zamiarem zastosowania tego paljatywu. Tak, ale rząd odpowiedzialnym jest przed Izbą posłów, może więc ona zażądać radykalniejszych środków względem lordów, a więc rozwiązania Izby lordów, lub przeprowadzenia bilu bez względu na jej opór. To byłaby już rewolucja pokojowa w urządzeniach państwowych Anglji. Oczywiście, iż tego rodzaju rewolucyjne załatwienie sprawy znalazłoby odpowiedni opór lordów i zatarg między izbami stałby się konfliktem wszystkich instytucji państwowych. Rodzą się bowiem natychmiast dwa pytania: czy rozwiązanie Izby lordów byłoby prawomocne, lub conajmniej wobec tego, iż całe prawodawstwo konstytucyjne Anglji prawie jest obyczajowem czy rozwiązanie to byłoby skuteczne, i drugie pytanie, czy bil przyjęty przez samą Izbę posłów stałby się prawomocnym i dałby się w czyn wprowadzić mimo oporu lordów? Te głębokie zagadnienia konstytucyjne nie są od nas wcale tak dalekie.

Być może, iż rząd wobec opinji publicznej i nie mając zamiaru zniesienia Izby lordów zechce w czyn wprowadzić projekt przyjęty przez samą Izbę posłów. Według konstytucji angielskiej będzie miał ku temu prawa, tylko czy znajdzie potrzebną dla każdego prawa sankcję władzy sądowej.

I oto na widownię wchodzi trzeci czynnik konstytucyjny: sądownictwo.

Los bilu zależeć będzie od tego, czy sądy uznają bil Izby posłów za legalny i czy uprawią go swym autorytetem. Jeżeli tak, konflikt będzie rozwiązany i odtąd Anglja rządzoną byłaby nie przez obydwie izby, lecz wyłącznie przez Izbę posłów. Prawo obyczajowe uświęciłoby ten fakt i odtąd każda uchwała posłów stawałaby się prawem. Jeżeli sądy odrzuciłyby bil jako niekonstytu-

---

na śmierć czasu działania obecnych sądów wojennych. A tych co przyszli potem, a których już liczyć trzeba na setki, tych pamięta mało kto, czasami może nikt, niewiadomo skąd przyszli, ginęli na szubienicy i nikt się o nich nie troszczył, nikt o nich nie pamięta.

Dlaczego, czy śmierć przestała robić wrażenie? W pewnej mierze tak, stała się rzeczą zwykłą; jeśli czytamy sprawozdania tygodniowe o ilości wykonywanych wyroków, i nie możemy znaleźć tygodnia, w którym by ta śmierć nie była powtórzona po kilka razy, a tak trwa lata, to w końcu ten krótki jednosylabowy wyraz, zapada w mózg tak, że wchodząc ponownie już nie potrzebuje sobie w świadomości nowej drogi torować, już ma swoją wydeptaną i znieczuloną ścieżkę, wchodzi jak rzecz zwykła. I ma myśl ludzka do wyboru dwie drogi: albo przyzwyczaić się, zobojętnieć, albo przy każdem nowem wrażeniu przeżywać to samo, tylko oczywiście w odpowiednio silniejszym stopniu, iż przy pierwszym, a to wobec częstości wypadków byłoby nad siły człowieczej myśli, — chcąc ratować siebie musiała zobojętnieć, a przynajmniej starać się nie myśleć, zesztywnieć.

W ten, czy inny sposób osiągnięte zobojętnienie to nie ulega wątpliwości. I tylko miejsce pierwotnie silnych wstrząśnień zajęła odraza.

To jednak jest już zjawisko omawiane; omawiane szeroko przez rozmaitych ludzi, którym kara śmierci nie daje spokóju, czy jako zagadnienie, czy jako czynnik społecznie pożądany, lub szkodliwy; mniej znaną i mniej omawianą jest sprawa tych gwarancji, które towarzyszą wymiarowi wyjątkowej kary.

Nie będę mówił o sądach polowych, istniały one krótko, odrazu uderzyły świadomość społeczną właśnie tym brakiem gwarancji, istniały kryjomo, funkcjonowały źle choćby z tego względu, że nie chciano z nich korzystać zbyt obficie, wobec wyraźnych braków, po krótkiem zatem istnieniu i niewielkiej, w stósunku do swego wyjątkowego charakteru, ilości egzekucji przestały istnieć te sądy, czy fikcje sądu.

Ale istniały a nawet istnieją jeszcze wyjątkowe sądy wojenne. Te nie przeszły bez śladu, ilość wyroków i egzekucji była pokaźna i znaczenie dziejowe nie małe.

(d. c. n.).

cyjny—wtedy nie pozostałoby posłom nic innego do zrobienia jak tylko uledz, lub rozwiązać Izbę lordów. Rozwiązanie Izby lordów jest drogą antykonstytucyjną i w zasadzie nie usuwającą konfliktu posłów z władzą sądową. Może się ono stać powodem wojny domowej.

Ustąpić zaś lordom znaczyłoby zupełnie oddać im władzę i rządy w państwie. Odtąd każda uchwała posłów mogłaby być obalona przez widzimisię lordów, którzy też staliby się rzeczywistemi panami państwa. To też prędzej, czy później, Izba posłów zmuszoną będzie użyć środków radykalnych, bo w chronicznym zatargu między lordami i wybieralnemi posłami innego wyjścia niema. Izba lordów musi ustąpić miejsca wybieralnemu senatowi, wyższej izbie prawodawczej, odpowiedzialnej przed ludem. Temu właśnie z całej mocy pragnie oprzeć się Izba lordów. Jedyną jej dewizą jest: nie być odpowiedzialnym przed ludem, aby tem skuteczniej bronić przed nim swoich przywilejów, urodzenia i kapitału.

W zatargu tym jest więc jeszcze głębsza sprawa socjalna. Widzimy jak dzięki uprzywilejowanemu stanowisku kilkuset możnowładzców cała maszyna państwowa może być w każdej chwili sparaliżowaną i narażoną na rozbicie. Również bijącym w oczy jest fakt, iż garść osób wyrodnych i bogatych stara się zagarnąć całą władzę w swoje ręce, aby tym skuteczniej eksploatować całe społeczeństwo.

Ale narod angielski zaprawiony w wiekowej walce o prawa człowieka i obywatela nie da sobie wyrwać tych praw a wraz z niemi i życia.

Stefan Lichtenstein.

Z NOWYCH POWIEŚCI.

II.

Krytyka „Rówieśnic“ mogłaby się rozpocząć od bardzo ogólnikowych i jałowych debat o miłości, o małżeństwie, o kwestji kobiecej; mogłaby też zakwestjonować, czy w tym wypadku, o który chodzi, słusznem jest wyprowadzanie według metody socjalistycznej pewnych stosunków i stanów z podłoża zmian ekonomicznych, jako z jakiegoś „proton pseudos", które zepsuło i zamąciło przedustawną harmonję miłości na świecie, harmonję, którą autorka pojmuje według ogólnie dziś przyjętych haseł siły, szczerości, pierwotności, woli do szczęścia. Możnaby zwłaszcza zapytać, dlaczego ma się koniecznie upatrywać we wszelkich postaciach marzenia tylko wartości negatywne, uważać je za bezdroża a nie za nowe zdroje, za osobne nowe formy układania się stosunków między ludźmi albo przynajmniej ratowanie idealizmu. Coprawda modnem jest dziś postponowanie marzenia na rzecz czynów i Stanisław Brzozowski jest właśnie takim detektywem nieubłaganym w tropieniu różnych form marzycielstwa jako objawów wykolejenia kulturalnego. Wbrew temu jednak możnaby jeszcze zapytać: czy jest rzeczywiście tak dużo ludzi, którzy umieją marzyć? i czy ta umiejętność nie była raczej cechą tych właśnie dawnych kultur, w których imię potępia się dzisiejszą. („Cóż to z nami uczyniłaś niedobra kulturo!“ woła pani Nałkowska) a których ludzie słynęli właśnie z „fantazji?

To też wprawdzie na marginesach powieści od siebie autorka usiłuje zachować pozę objektywnego traktowania marzeń jako symptomu, ale na tem poprzestaje— w praktyce bowiem sama bohaterkom podpowiada, sama się z niemi zapala i na tle tego ich życia marzeń najpiękniejsze sceny tworzy — bo to ją najwięcej zajmuje. Mamy tu tę samą bardzo często zresztą w literaturze spotykaną dwulicowość autorską jak np. w „Próchnie“ Berenta albo „Panu Podfilipskinu“ rzekomej satyrze Weysenhoffa. A nie jest to dwulicowość świadoma, którą powinien mieć każdy artysta wobec stworzonych przez siebie postaci, uczuć i myśli — ale ta nieświadoma, przy której artysta własnego serca nie rozumie i chciałby ponad siebie wyskoczyć.

Autorka nie widzi, że obie stworzone przez nią bohaterki nie są typami lecz wyjatkami i wcale nie mogą illustrować jej tez społecznych. Jeszcze Hania do pewnego stopnia może uchodzić za typ, ale Małgorzata, uzbrojona w nadzwyczajną inteligencję i zaskorupiona nadzwyczajną dumą, wcale nie reprezentuje losów kobiebiety ubogiej, nie jest kontrastem do Hani lecz drugą Hanią, bogaczką duchową. Wszakże głód nie jest wcale głównym atrybutem ubóstwa, ono objawia się najdobitniej w niepanowaniu nad otoczeniem; z chwilą jednak gdy ktoś potrafi jeść suchy chleb z miną tak królewską jakby to była ambrozja, nędza traci nad nim władzę, może on zmarnieć ale się nie ugnie. Typowym losem Małgorzaty byłoby, gdyby wpadła w ręce uwodziciela np. męża Hani i taki los odpowiadałby założeniu tej powieści jako socjalnej i dałby sposobność do nowych komplikacji sytuacyjnych, któreby znów uwydatniły inne części tego węzła kwestji społecznych. Wogóle gdyby autorka wykonała swój plan właściwy, który tylko czasem jej się uświadamiał i osadzał się na owych — marginesach,— to możnaby się z nią, jak zaznaczyliśmy, spierać o jej sposoby orjentowania się w stosunkach społecznych lecz miałoby się doczynienia z tworem literackim o trwałej konsystencji i wyraźnej fizjognomji a nie takim, w którym najlepsze rzeczy powstały wbrew lepszej a raczej gorszej wiedzy autorki. Można ukazać Hanię na tle zależności od opinji, od wychowania, od męża, wprowadzić na scenę nie curicsa kobiece lecz postacie już to ilustrujące, już też dopełniające, tak aby cały przebieg społecznych i ściślej biorąc towarzyskich stosunków tej warstwy czy tej grupy się uwydatnił— mogła jednem słowem ukazać proces stawania się owego kompletyzmu t. j. i korzeń i kwiat. Doskonałym wzorem takiej powieści jest Pani Bovary Flauberta, z którą zresztą pani Hania ma wiele cech wspólnych. Albo też można było sprawę zupełnie oderwać od gleby, bohaterki wyolbrzymić, ile dusza zapragnie, zrobić kwiat-balon szydzący z korzeni — tak jak jest, to zatrwożony romantyzm.

Do tego samego rezultatu dochodzi się, gdy się ten utwór analizuje już nie od strony treści i idei ale od strony stylu i formy. — Mówi się powszechnie: pani Nałkowska ma styl, ten zaś i ów dodaje: ona ma nawet swój odrębny styl. Tak jest—pokazuje go nawet za dużo i jabym tego wcale za przymiot nie uważał. Styl niech ma ersaista, publicysta, popularyzator, mówca, ale poeta podobnie jak aktor nie powinien mieć stylu chociaż powinien dowoli rozporządzać wszelkiemi stylami.— Co do formy: jest to zwykła skostniała forma polskiej powieści w tej odmianie, jaką uprawia głównie Żeromski. Uderza w niej przedewszystkiem nadmiar opisów nastrojowych: drzewa, domy, powietrze, śnieg, kwiaty, woda, muzyka — wszystko to staje się przedmiotem pieszczoty artystycznej, stawia autorce samodzielne zadanie, by znalazła równoważnik słowny dla bezimiennych dotychczas zajść w otaczającym nas świecie. Obfita wyobraźnia autorki w połączeniu z pilnem ćwiczeniem się w sporcie łowienia takich równoważników pomaga jej bardzo często do ładnych rozwiązań tego rodzaju lirycznych problemacików; sama natura tych zadań jednak ma w sobie coś snobistycznego, obliczonego na czytelników, których cały stosunek do autora polega na pokwitowaniu mu tych smaczków. O gałęziach drzew ponad dymem powiedziane jest ślicznie, że są „jakby ukryte za szybą zrobioną z drżenia“ o Szarzyńskim że „niby aleją marmurowych filarów szedł między słupami wirów śniegowych“, o kulkach wody na liściu, że były „jakby podłożone malutkiemi blaszkami ze srebra.“ W śnie Hania dokądś płynie i słyszy „wilgotne nucenie wioseł niepotrzebnych “, kiedyindziej zaś idąc widzi „kładące się na słonecznym kręgu najwyższe kłosy, zupełnie czarne na

takiem tle królewskiem." Ciasteczka — łaskawa Pani! Aby usprawiedliwić te skoki raz po raz w mikrokosmosy musi autorka wreszcie złożyć je na karb obu swych bohaterek i robi je lubowniczkami zakątków roślinnych, degraduje je do jakichś wegetatywnych sposobów istnienia i odczuwania.

Możnaby przypuścić, że to rozpływanie się bohaterek w świecie wegetatywnym jest przecież naturalnym wynikiem ideowego założenia powieści i jej punktem szczytowym. Tak jednak nie jest. Jest ono raczej konsekwencją tego całego sposobu pisania, który jak mi się zdaje ma źródło w tem, że zdawien dawna powieść nasza ma charakter szlachecko-wiejski, „ukrasiana" była przez ludzi rozmiękczonych i — tu nie liczę na niczyją solidarwość — zdemoralizowanych przez ciągłe obcowanie z przyrodą, ludzi nie denerwujących się niczem i mających dużo czasu. Brzozowski w słynnej brosurze o Żeromskim domyśla się w nim pierwiastków wiejskich, lecz nie widzi ich fatalnego wpływu. Cała psychologja i sposób traktowania charakterów przez Żeromskiego nosi na sobie te ślady. Ta hypertrofja życia uczuciowego a natomiast eskamotowanie tego, co w życiu psychicznem człowieka wskazuje w przyszłość, wytwarza jakąś odpowiedzialność, nadaje wyraźną fizjognomię jego myślom, co stanowi ich rdzeń praktyczny, prozaiczny i brutalny. Raduski („Promień") przyjechał do rodzinnego miasta — i zaraz zaczyna się opis jego spostrzegań i wspomnień, musimy wejść odrazu w jego serce, a nie znamy go jeszcze z wierzchu, niewiemy co zacz, jakie ma zamiary, wykształcenie, konduitę, rodzinę i t. d., słowem nie znamy jego „paszportu". Opisuje się długo i wymyślnie stany, które w zwykłem życiu są krótkie i na żadnego człowieka wpływu nie wywierają, to zaś co już w myśli człowieka zamienia się już niemal w monolog, co się kuptalizuje — to bywa pomijane: fałszuje się cały wzajemny stosunek władz do siebie w życiu psychicznem. Charaktery Żeromskiego mają — że tak powiem — wybite dno, w którego miejsce weszła rura prowadząca do rezerwoarów autora. Dlatego Rafał z „Popiołów", który z zewnętrznem życiu jest zwykłym rębajłem, dobrym do wojny i do amorów — po nadto odczuwa, kocha, marzy tak jakby był genialnym poetą. Podobnie Ewa — i wprost śmiesznem jest, że ludzie, którzy nie rozumieją zupełnie tej techniki, biorą takie „charaktery" na serjo jakby żywych ludzi, kłócą się o to, czy Ewa jest typową Polką, czy nie i uważają jej nieszczęścia za dokument do trutynowania tak szanownych kwestji jak kwestja rozwodów małżeńskich, i prostytucja (ale — spiritus flat ubi vult!). Żeromski wychodzi z założenia, że uczucie jest zawsze bezdenne i genjalne; gdy tymczasem stoi ono zawsze w pewnym stosunku do inteligencji, do zasobu wyobrażeń i wzorów, a zwłaszcza do stopnia, w jakim się ono — nie uświadomia wprawdzie ale — w danym razie uświadomić może. Stany uczuciowe rzeczywistych Ew i Rafałów są ropacźliwie płytkie i jałowe; użyczać im słów, uważać je za zaklęte płytki fotograficzne, które tylko w odpowiednią maszynę włożyć potrzeba, aby przemówiły — to znaczy właśnie fałszować całą jakość i intesywność uczucia.

Dlatego też Żeromski nigdy nie napisał powieści społecznej, dał tylko powieść humanitarną, wyszłą ze zmysłowej litości. Napisać powieść społeczną — wszak to znaczy pokazać ludzi w stosunkach *między sobą*, ich oddziaływanie wzajemne na siebie — w życiu tłumów, klas, w życiu zwyczajów, tradycji, w życiu towarzyskiem i osobistem (przyjaźń, miłość, rodzina). Na to jednak ludzie Żeromskiego zbyt zamknięci w sobie, ich życie jest tylko liryczne, chwils zapada w głąb, co chwila autor ma czas, aby kontemplować chmurę lub rynsztok albo aby nałożyć tłumik i pociskać nasze gruczoły łzowe. Znamiennem jest np. i to, że zło i głupota nie istnieją dla niego jako problemat, zna on tylko ludzi dobrych lub nieszczęśliwych, reszta to akwarjum Pochroniów i Spławskich.

Pani Nałkowska okazuje się uczennicą Żeromskiego nietylko w tem, co pisze, więc nietylko np. w stosowaniu przymiotników „nieomylny" „nieprawdopodobny" lub traktowaniu pewnych stanów i przejść w sposób uroczysto-metafizyczny (np. str. 210 ustęp: „Żyła w piekle jakiemś nierozpętalnym systemacie grzechów" i. t. d., a rozumienie świata przez Ewę według „nut cierpienia" w I tomie „Dziejów-grzechu") — lecz i w tem czego nie pisze. Zupełny brak wynalazczości w fabule, sceny i epizody poszczególne wiążą się tylko opornie w całość, dysproporcja między zdarzeniem a komentarzem psychologicznym, między obszernem traktowaniem skutków a niedostatecznem wyjaśnianiem przyczyn, co chwila nurkowanie w życiu uczuciowem. Ale co sobie myśli *naprawdę* ta pani Hania i o czem rozmawia, gdy nie filozofuje? Czy myśli np. o tem, aby wziąć rozwód z mężem i wyjść za Worośnickiego? lub jak się załatwia ze skrupułami co do zdrady? O takich sprawach najprostszych, najbliższych a przecież rozstrzygających się przemilcza. Amant aż do końca postępuje w sposób zupełnie nie wyjaśniony, wszystko, co z jego strony spotyka Hanię, jest niespodzianką nietylko dla Hani lecz i dla czytelnika, a te niespodzianki dzieją się wogóle tylko poto, aby nakręcić zegar marzeń Hani. Więc i tu ludzie żyją *w sobie*, nie *między sobą* i *ze sobą*, niema powieści społecznej. Wszystko jest wewnętrzne i ostatecznie zaskorupia się wewnątrz i powieść kończy się tem, że każdą osobę zamknęło się do klatki marzeń. Taka ilozacja byłaby niewątpliwie także ważnym negatywnym objawem społecznym, gdybyśmy znali nie nastrojowo-metafizyczne, ale te zwykłe, prozaiczne przyczyny, które postawiły przegrodę między Worosnickim a Hanią. Te bowiem są przecież mimo wszystko najważniejsze i — najgłębsze.

W ten sposób analiza formy wykazuje to samo co okazała analiza treści. Rozdalania chwil, fermaty — zamiast skrótów i przekrojów w formie odpowiadają brakowi perspektyw i umotywowań społecznych. Zamiast psychologii zwycięskiej opanowującej stany duszy w imię pewnego celu — psychologja bierna, pełna kultów i przesad, nie lecząca lecz rozszerzająca rany. Wprawdzie przez to osiąga się odrębne efekty — zbyt drogo okupione. Żeromski z demoniczną siłą sięga istotnie najgłębszych warstw duszy — lecz w znaczeniu ujemnem. To znaczy bowiem: nie zwraca się do człowieka w pełnej zbroi jego świadomości, w najwyższych chwilach jego skupienia, lecz hypnotyzuje go, każe żyć najstarszemi pokładami duszy, pastwi się nad bezbronym. Pani Nałkowska jest najzdolniejszą uczennicą Żeromskiego. Jeżeli nie ma tej intensywności to za to bywa prawdziwszą i bystrzejszą, bo Żeromski zaczyna zbyt często od przesady: przesada jest nieraz warunkiem jego najlepszych efektów a nawet drogą do prawdy — o ile prawda może być identyczną z silnem wrażeniem. Tak samo jak on, ustala Nałkowska i definiuje pewne stany i przejścia raz na zawsze — jednak z pewnym nalotem objektywnej, cofającej się od przedmiotu obserwacji, która jest właściwie staromodna lecz dziś działa jakby nowa.

W parze z rozmiłowaniem się w nawiercaniach psychologicznych bez planu idzie u Nałkowskiej jak we wszystkich powieściach tego typu zanik fabuły a przez to i zanik kompozycji. Kolorystyka zabiła rysunek. Od 10 lat u nas kult wynalazczości, kult oryginalnych tematów i pomysłów, kult jasnych uczuć zdziwienia, zaciekawienia, odkrycia — zamilkł zupełnie pod grozą, że to pospolite. Tam gdzie Żeromski chce dać fabułę, ucieka się do sposobów Sienkiewicza (szukanie Niepołomskiego) albo do sztuczek powieści kryminalnej. Brzozowski ratuje kompozycje Żeromskiego mówiąc, że to są symfonje. Jestto tylko ładne słowo do wyrażenia pojęcia: połączenia mechanicznego. Tak samo mechanicznie albo niech będzie muzykalnie łączą się z sobą w powieści p. Nałkowskiej zgrupowane dokoła pewnych osób warjanty na temat: ucieczka a marzenie; są one do siebie dodane ale nie krzyżują się wzajemnie w sposób organiczny.

Niektórzy krytycy starego autoramentu z żalem wspominają teraz Dumasa, wskazują na powodzenie Co-

nan Doylego jako objaw głodu fabuły, chwalą szerokie „kompozycje historyczne“ Jeske Choińskiego. Mylą się: sterta słomy nie może mieć kompozycji. Powieść nie potrzebuje tracić osiągniętej głębokości, tylko głębokości te muszą się otwierać w imię jakiejś idei przewodniej i to koniecznie nowej. Możliwe są najgłębsze fabuły czysto psychologiczne a bardziej zajmujące od przygód Sherlocka Holmesa. Fabuły takich powieści jak „Dzieje grzechu“ „Ludzie bezdomni“ są albo szare i symplistyczne albo całkiem roztrzęsione. To samo i „Rówieśnice“. Póki się tę powieść czyta, uderza ona zajmującemi i głębokiemi epizodami; gdy się ją zamknie i pamięcią oddala, nie widzi się nawet zacierających się w mgle konturów, którymby można posłać pożegnanie, i krytyka musi mimowoli być niewdzięczna, ganiąc dom, w którym sutą miała gościnę.

Karol Irzykowski.

Z TEATRU MAŁEGO.

„Kamieniarz zwany Lionczyk prawy“ — komedja w 3-ch aktach Ludwika Berniere'a.

Wystawienie sztuki Berniere'a poprzedziła reklama odkrywając nieco zasłonę z jego prywatnego życia. Publiczność dowiedziała się zatem, że autor, „Kamieniarza“ sam był kamieniarzem, i ciężko pracował aby za odłożone z niebywałym trudem pieniądze kupować sobie bilet do teatru. Nie mało to zapewne zdziwiło tych, którzy do teatru na „Kamieniarza“ nie przyśli! A tych było, bardzo, bardzo wiele. Piękne, szczere, proste słowa Berniere'a padały w próżnię. Publiczność warszawska stanowczo po za „Moralnością pani Dulskiej“ nie widzi sztuki dramatycznej! Lecz choćby reklama w sosie sensacji podawana nie głosiła klasowego pochodzenia autora sztuki, każdy inteligentny widz, domyśli się łatwo, że jeżeli Berniere nie był sam robotnikiem, to dobrze czuł życie i troski robotnika, dusze i serce proletarjusza. A rozumiał inaczej niż wykwinty stylista, który o nędzy pokrzywdzonych dowiaduje się z „kurjerka“ pijąc ranne cacao, a kwestję robotniczą zna ze sprawozdań wiecowych! Na szczęście Berniere ma talent o jakim nie śniło się ani Capusowi, ani Brieux'owi, ani Bernsteinowi, ani żadnemu z oficjalnych dostawców komedji francuskiej! I te niezaprzeczone wartości jego duszy, pozwoliły mu spojrzeć na życie bez zaciekłości fanatyzmu klasowego. Sztuka napisana przez robotnika jest sztuką pełną naturalnej sytuacji, nie zbrudzonych brutalną tendencją. Napisał ją człowiek, który znał i rozumiał dobrze różnice charakterów ludzkich, który doskonale widział ułomności i wady zbogaconego mieszczaństwa, lecz któremu urodzony smak estetyczny nie pozwolił stoczyć się w ramiona przesadnego apostolstwa — i uczynić ze sceny arenę swojej pogardy dla burżujstwa! Jeżeli jednak w sztuce są momenty przeciągnięte i zbyt wyraźne ukochane prawości prostaka, jeżeli Papillon jest tak czysty i dobry jak szczęśliwe dziecko—to tylko dowodzi, że autor szczerze wierzył w możliwość takiego usposobienia i popierając je, drobnostkową psychologją umotywował we wszystkich przypadkach—osłabiając chwilami zaledwie te sytuacje, gdzie na przeszkodzie stawały warunki techniki teatralnej.

Treść sztuki ani nowa, ani wyszukana. Zwykły kamieniarz Papillon niespodziewanie dziedziczy miljonowy spadek po swoim naturalnym ojcu. Przyjeżdża więc do majątku już zajętego wskutek pewnych nieporozumień przez rodzinę zmarłego. Rzecz naturalna, że pierwszą myślą sprytnej p. Verillae jest wydać corkę za „nieokrzesanego“ bogacza. Niestety ten sam projekt ma względem siebie zrujnowana margrabianka de Sandray. Następuje zatem walka o miljony Papillona. Lecz „Lionczyk prawy“ zna swoje obowiązki. Zrozumiawszy o co chodzi, sprowadza swoją długoletnią kochankę z synem—i żeni się z nią, a „burżuje“ zostają przy apetycie! Shaw lub Wied zrobiliby z tego pyszną groteskę. Lecz Berniere nie potrafi się naigrywać z ludzi i ich namiętności, zbyt jest jasny i szlachetny, żeby odpowiadać kamieniem za kamień. Znajduje nawet współczucie dla przewrotnych Verillac'ow! — Nie darmo bowiem dano mu przydomek „prawy“!

Sztuka jest wzruszająco szczera i bezpretensjonalna. Wielkie szczęście, że nie napisał jej p. Capus, bo wówczas znosiłoby się takie same rozkosze estetyczne, jak z powodu gry p. Bończy w roli margrabianki de Sandray. Słuchając jej litewsko-ruskiego szwargotu, który ma imitować piękną mowę polską, nie mogłem sobie w żaden sposób wytłumaczyć obecności p. B. na scenie i to w Warszawie! Mam odwagę przypuszczać, że jeżeli w adeptach sztuki dramatycznej, nie widzimy talentu scenicznego to jest bardzo niedobrze, ale już zgoła bezwstydne jest tolerowanie dyletantek, które grywają odpowiedzialne role, nie umiejąc mówić po polsku. P. Bończa, która prawdopodobnie z nudów wstąpiła na scenę, nie powinna naigrywać się publicznie, tak ze sztuki, jak i z cierpliwości ludzkiej!

Rolę tytułową odegrał z temperamentem i dużą inteligencją p. Noskowski. Sekundowała mu z istotnem powodzeniem p. Stankowska, oraz p. Kamińska i p.p. Orliński, Neubelt Guttner i Szarski!

Stefan Kiedrzyński.

KRYTYKA I SPRAWOZDANIA.

Kmicic. Przesądy antysemickie w świetle cyfr i faktów. (Przyczynek do kwestji żydowskiej). Wydawnictwo „Wiedzy“ 40 kop., Wilno 1909*).

„Kwestja żydowska“ istnieje u nas, zwłaszcza zaś w Rosji, do dzisiaj., nieprędko zapewne będzie uchylona, a gwałtownie domaga się rozwiązania i właśnie w dobie obecnej może szczególniej jest aktualną. Nawoływania do „walki z zalewem żydowskim“, do „strząśnięcia jarzma żydowskiego“ zaogniają ranę, sprowadzić mogą jedynie prawa wyjątkowe dla Żydów, które nietylko nie umniejszą obcości i wrogości Żydów w stosunku do otoczenia, lecz i nie doprowadzą nawet do rezultatu, jakiego pragną antysemici, do izolacji, wyodrębnienia chrześcijan od Żydów. W celu odparcia propagandy antysemickiej autor usiłuje zbadać zawiłą „kwestję żydowską“, kreśli zarys jej dziejowego rozwoju, przedewszystkiem zaś podejmuje rozpatrzenie ekonomicznej strony danej kwestji, warunków życia ekonomicznego Żydów w Państwie Rosyjskiem, by w tej dziedzinie wyświetlić bezpodstawność argumentów antysemickich, bezskuteczność takichże środków zaradczych.

Wśród społeczeństw kapitalistycznych zachodnio-europejskich dokonało się całkowite niemal zasymilowanie Żydów, to też antysemityzm groźnie krzewić się może jedynie w Europie wschodniej, gdzie nastąpiło silniejsze skupienie się ludności żydowskiej, oraz gdzie przeżytki feudalizmu silne jeszcze posiadają korzenie, przedewszystkiem zaś w Państwie Rosyjskiem.

*) Broszura ta przedstawia odbitkę z artykułu drukowanego w tygodniku „Wiedza“ w r. 1909.

Pierwsze ograniczenia prawne Żydów nastąpiły za Katarzyny II, lecz jedynie w imię ogólnych ograniczeń stanowych, już jednak ukaz z r. 1791 staje się podstawą prawną do ustalenia „strepy osiedlenia“ Żydów; znane są dążenia antysemickie rządów Mikołaja I, nowe jednak prawa wyjątkowe zostały wydane dopiero w czasach Aleksandra III. Przedewszystkiem wydano „przepisy tymczasowe 3 maja 1882“, ograniczające prawa Żydów co do wyboru miejsca zamieszkania, później zarządzenie ministerjum oświaty z r. 1886 i 87, ograniczając ilość Żydów w szkołach, pogorszono położenie Żydów w armji, pozbawiono ich udziału w samorządzie miejskiem. Ograniczenia te wywołały przewrót w życiu ekonomicznem Żydów, wzmocniły mury ghetta. Znana ogólnie jest walka reakcji z ruchem wolnościowym lat ostatnich za pomocą pogromów żydowskich.

Tymczasem rozwój ekonomiczny Żydów zmierza stale, choć sztucznie przez prawa przeciwżydowskie wstrzymywany, w tym kierunku, że rośnie ilość Żydów poświęcających się pracy fizycznej, inteligencji zawodowej, oraz kupców nowoczesnego typu, w miejsce klasy drobnych handlarzy, lichwiarzy, faktorów i t. d. Średniowieczna organizacja produkcji rzemieślniczej nie dopuszczała Żydów do rzemiosła. Stopniowo jednak, gdy wskutek przyrostu ludności żydowskiej pośrednictwo handlowe, lichwiarstwo nie wystarczało, wzrastała tendencja do podejmowania pracy fizycznej i liczba rzemieślników Żydów wciąż rośnie; w niniejszem stopniu da się to samo powiedzieć o żydowskim proletarjacie fabrycznym. Położenie przeważnej części robotników i rzemieślników jest naogół ciężkie, a stanowi to skutki przedewszystkiem polityki rządowej, której ideą przewodnią jest ograniczanie praw Żydów. Wynik tej polityki stanowi przedewszystkiem przeludnienie ludności żydowskiej w granicach „strefy osiedlenia“, to zaś pociąga zbytnią podaż robotnika w stosunku do zapotrzebowania. Ludność żydowska w państwie rosyjskiem w r. 1897 wynosił 5.215.805 czyli 4,16% ogółu ludności i z tej liczby 93,9% ludności żydowskiej zostało skupione w granicach „strefy osiedlenia“, obejmującej 25 gubernji; żydzi w Królestwie Polskiem stanowią 14,05% ogółu ludności, w 15 gubernjach Cesarstwa, należących do „strefy osiedlenia“ 11,12% gdy tymczasem poza granicami „strefy“ nie dochodzą nigdy do 1% ogółu mieszkańców. Skutki takiego rozmieszczenia ludności żydowskiej są fatalne zarówno dla Żydów jak dla chrześcijan. „Im mocniejsze jest przeludnienie żydowskie w granicach strefy osiedlenia, tem groźniejszemi konkurentami i przykrzejszemi sąsiadami są żydzi dla chrześcian, tem więcej gruntu znajduje antysemityzm. Im mocniejszą znów niechęć otoczenia spotykają dookoła żydzi, tem bardziej unikają obcowania z chrześcijanami, tem więcej zamykają się w swem odosobnieniu. Ale z kolei ta izolacja obniża poziom kulturalny mas proletarjatu, a to znowu ułatwia robotę wyzyskiwaczom. Wyzysk zaś, spotęgowany do ostatnich granic możliwości, utrwala nizki poziom kulturalny i ciemnotę mas proletarjatu żydowskiego“. Takie położenie bez wyjścia wytworzyło się w Królestwie Polskiem, które rząd przeznaczył za główny zbiornik odprowadzonych z Rosji wód żydowskich; stłoczone masy ludu żydowskiego skazane są na nędzę materjalną i moralną, na nienawiść swego otoczenia.

Przepisy wyjątkowe przeciw Żydom tamują rozwój ekonomiczny wśród Żydów, jednocześnie zaś i ogólny rozwój rzemiosł i przemysł w państwie rosyjskiem. Życie jednak aczkolwiek hamowane, idzie naprzód, ilość przedstawicieli pracy fizycznej w Rosji rośnie, dochodzi do 50%, rozwala ghetta żydowskie, zwłaszcza litewskie i polskie.

W dziedzinie handlu podobne istnieją warunki. Z liczby prawie półmiljona Żydów, trudniących się handlem, znaczną większość stanowią sklepikarze zajmujący się handlem jaknajbardziej detalicznym, oddani na łup biedzie, często najstraszniejszej nędzy. Jednocześnie zaś czy to tak drobny kupiec czy lichwiarz-Żyd, operujący wśród biednej ludności, są plagą społeczną. Są to jednak nieuniknione skutki istniejących warunków społecznych, przedewszystkiem wyjątkowych praw przeciw Żydom w Rosji. W Cesarstwie rezultatem polityki rządowej jest „osłabienie tempa rozwoju handlowego, zatamowanie rozwoju klasy handlowej wśród żydów i utrwalenie wśród tejże klasy wstecznych, zacofanych form handlu“, w Królestwie zaś natłoczenie znowu nadmiaru sił roboczych w stosunku do potrzeb handlu miejscowego. Utworzenie „strefy osiedlenia“ oczywiście dowiodło, że nie rasowe cechy Żydów powodują wzrost lichwy i wyzysku, ale warunki społeczne“.

Tak się przedstawiają ogólne wnioski, do których w danej sprawie dochodzi autor, rozważywszy ekonomiczne podłoże tej sprawy, rozpatrzywszy się w odpowiednich faktach i cyfrach.

Antysemityzm w dzisiejszych warunkach jest złem koniecznem, kwestja żydowska wobec ciągłego napływu Żydów obcych, staje się coraz bardziej poważną, palącą, a półśrodkami, a zwłaszcza prawami wyjątkowemi rozwiązać się jej nie da. Właśnie należy zwrócić rozwojowi kulturalnemu Żydów normalne łożysko, znieść wszelkie ograniczenia, wszelkie prawa wyjątkowe, a wówczas dopiero kwestja żydowska sama stopniowo się rozwiąże. *N. G.*

TĘSKNOTA DO OJCOWSTWA.

Smutne jest to, co się w zaułkach wielkiego miasta spotyka. Ale ci, którzyby chcieli w słodkiej wędrówce dobrobytu zatrzymać się na chwilę i zajrzeć w życie rodziny Jędrzejaków, zobaczyliby rzeczy, wprowadzające przerażenie do najtwardszych serc!

W suterenowej izbie mieszkał Franek z matką i ojcem wespół z innemi dwiema rodzinami. Rzecz oczywista, że wygodnie im nie było! Pokoik był niewielki, z jednem zakratowanem okienkiem, które wychodziło na podwórze, a umieszczone było nad rynsztokiem. A przytem niektórzy współlokatorzy, mieli zwyczaj, co jakiś czas przychodzić w różowym humorze. Jaki to jednak był różowy humor, mógłby o nim coś powiedzieć Franek i inne dzieci, które były zazwyczaj ofiarą odświętnych libacji. Na nich kończyła się zabawa.

Stary robotnik Walczak, skądinąd bardzo zacny człowiek, a nawet „z charakterem“, musiał jednak, przyszedłszy do domu pijany, obić wszystkie dzieciaki po kolei. A bił na urząd! Spokojnie z namysłem, ściągnąwszy wpierw delikwentowi spodnie—bo „portek szkoda“. Wiele było awantur z tego powodu, bo o ile rodzice znajdowali się w pobliżu, wynikały kłótnie i bijatyki, ale w końcu cierpliwość Walczaka przemogła. Robił to z taką niesłychaną wiarą w swoją rację, że baby kiwały głowami, myśląc, że zapewne ma słuszność kiedy bije, a że bił nie po warjacku, tylko po chrześcijańsku w miejsce do tego użytku przeznaczone, przeto w końcu zwyciężył na całej linji i był nawet czemś w rodzaju ostatniej instancji, która zarazem wymierzała karę.

A jemu czyniło to niewypowiedzianą rozkosz. Nigdy nie miał dzieci i ogromnie tęsknił do nich, a zwłaszcza kochał powagę ojca. Powagę rozumiał wtedy, gdy ojciec stanąwszy z paskiem w ręku krzyczał na syna:

— Pójdź tu, ty szczeniaku!

A syn przykuca ze strachu. Skręca się jak wyżeł mający otrzymać baty.—Czołga się po ziemi, a patrząc przez łzy w oczy rodzica, w bladem przerażeniu:

— Tatusiu najdroższy, już nie będę, nie będę!...

Ilekroć stary Walczak widział podobną scenę, tylekroć zalewała go zazdrość. Serdecznie, całą duszą żałował, że nie ma dzieci, że jest sam, że nie może karać i być poważanym.

Dlatego lekko sobie podpiwszy ściągał pas i nauczał moresu swoich małych współlokatorów.

Dużo go to jednak kosztowało, bo przecież nikt przypuszczać nie może, aby rodzice tak darmo pozwolili obijać swoje dzieci. Walczak płacił za swoje nawyknienie. Zrazu poczęstunkiem, niby w charakterze przeprosin za nietaktowne postępowanie, a potem wprost pieniędzmi, 25 kop. za każdą porcję. Ot fanaberja!

Ludzie śmieli się z tego. Ten i ów się oburzał, ale cóż z tego? .... nie szklanka, nie zbije się, a złoty groszy dwadzieścia piechotą nie chodzi.

Ale razu pewnego Franek przyszedł wieczorem do domu i zawołał zaraz od progu:

— Żeby matka wiedziała, że jak mnie ten psia jucha tknie, to mu łeb kamieniem rozwale!

Jędrzejakówa spojrzała na niego przeciągle.

— Stulisz ty pysk?—spytała łagodnie, ale głosem, w którem znać było nadchodzącą burzę.

Ale Franek się postawił.

— Nie stule i tak zrobie! Zobaczy matka!. Już dosyć jego panowania. Fimon psia jego nędza myśli, że na frajera trafił. Ooo. Zaraz! Nie wisz czasem!..

— Stulisz ty pysk?—krzyknęła Jędrzejakowa, podnosząc groźnie głos.

— Matka myśli, że ja nie wiem wszystkiego co? Niby to on staremu nie płaci za mnie srebrem. A jakże!—Taki pętak nie jestem!...

Kopnął z nienawiścią jakiś stołek, który się potoczył, aż pod same drzwi.

— Fimon z poliwanem nosem—mruknął z nienawiścią. Zdechnie wpierw niż mnie tknie, a nie to mu łeb rozwale. Rozumie matka?... Będzie tu płacił za moją skórę, jak za psa. A jakże. Już się daje.

— Coś tak zhardział, co? Chcesz, żebym drewna wzięła?

— A co matka myśli, że ja co? Loterja mnie przyniosła? Może to nie boli? Co? Jak ojciec chce mieć pieniądze, to niech się sam daje walić. Ja ani myślę!

— Ej, stul mordę. Bo nie na to cię chowam, abyś do matki tak gadał—zawołała Jędrzejakowa.

Ale Franek postanowił widocznie raz skończyć ze swoją zmorą, która mu życie zatruwała. Wpakował ręce w kieszenie i spojrzał drwiąco.

— Ja na bejc nie gadam. Skończyło się jego panowanie.

— Ja ci zaraz dam panowanie jak wezmę drewna.

— A nie, to jazda! Już mnie niema — zawołał Franek. Czapkę na głowę—i fiut!..

— A gdzież ty pójdziesz, zatracony — zapytała uśmiechając się ironicznie. Do hotelu co? spać se do Bristolu?

— A do Bristolu, a jakże, jakby matka wiedziała na pierwsze piętro, jak jaśnie oświecony ordynat! Jak rany pana Jezusa kocham!—wołał chłopak, skacząc po izbie.—A co to ja nie mogę, albo co? A może matka myśli, że nie będę miał za co?.. Niby to ja bez grajberów, co? Nie wisz czasem! Jeszcze w takich portkach do domu wróce, że temu staremu djabłowi oczy kołem staną...

— A cóż ty będziesz robił? — pytała trochę już zaciekawiona Jędrzejakowa.

— A kurjery se będę sprzedawać! Matka myśli, że ja nie potrafję?.. Oho!.. Dam radę! Dostałem dwa złote od studenta... z trzeciego...

Naraz urwał, zrozumiawszy, że się niepotrzebnie wygadał, że ma pieniądze. Groziło mu niebezpieczeństwo. Zarówno jego matka jak i ojciec, byli zdecydowanymi wrogami pieniędzy i każdy grosz musieli jaknajprędzej wydać.

— Ty masz dwa złote? — zapytała lekko przymrużywszy oko.

— Matce wszystko jedno!

Kobietę porwała złość i oburzenie.

— Stul pysk, szczeniaku, stul pysk, bo ja ci zaraz pokaże, co znaczy matce odpowiadać.

Nagle położyła wycierany brudną ścierką talerz i podeszła do niego.

— Daj!

Franek drgnął.

— Co mam dać?

— Nie rób greka, te... Udaje, że nie wie!—Dwa złote.

Chłopiec spojrzał przerażony.

— Nie mam—rzekł prawie cicho, bo go nagle strach zdusił okropny.

— Daj, pókim dobra!

— Niem mam, co matka myśli, że ja co? Ja tylko tak na niby mówiłem.

— Daj, mówię, bo jak Walczak przyjdzie to zobaczysz co będzie—zagroziła Jędrzejakowa.

— Niech przyjdzie, już się boje—zawołał zuchwale, ale usta mu drżały ze strachu.

Podeszła do drzwi i zamknęła je na klucz.

— Niech tylko Walczak przyjdzie.

Chłopak udał, że go to nic nie obchodzi.

— Pieniędzy nie dam—rzekł stanowczo, bo to na interes.

— Ja ci dam interes.

— A tak. Kurjery będę sprzedawał!

— Więcej butów łajdusie zedrzesz, niż co warto—syknęła Jędrzejakowa, która koniecznie chciała czemś upozorować swój rabunkowy system.

— O, strasznie się w butach nachodzę. Pewno matka dla mnie schowała do komody!

— Jeszcze ci je dać, żebyś zaraz połachał!

— No, to niech matka nie wymawia, bo ich nie mam.

— Zamknij pysk!

— Już się rozpędziłem. O jej!..

— Ścierwo te...

Zaległo milczenie.—Jędrzejakowa wycierała talerze—a Franek patrzał na drzwi z tęsknotą.

— Niech mi matka drzwi otworzy — zawołał po chwili.

— Poczekaj, poczekaj, niech tylko Walczak z fabryki wróci.

— Niech mi matka drzwi otworzy—powtórzył chłopiec prawie z płaczem.

Kąciki ust drżały mu niespokojnie. Zbliżała się godzina „fajerantu".

Ale Jędrzejakowa nie zwracała na niego uwagi. Przestawiając i porządkując na kominie mruczała pod nosem:

— Ja ci pokaże—nie dam!—Łajdus ten zatracony. Człowiek mało rąk po łokcie nie urobi, a ten ma i dać nie chce. Ale Walczak ci pokaże, co to jest matce się sprzeciwiać!... Sobacze nasienie! Serca za grosz nie ma... Smiej się śmiej! Zaraz się będziesz śmiał baranim głosem.

W tej chwili ktoś zakołatał.

— No—otworzyć!—

Wszedł Walczak. Był to chłop pięćdziesięcioletni chuderlawy i zgarbiony od stania nad tokarnią. Ręce miał tylko jak łopaty, wielkie i czarne. Wszedł i zatoczył się lekko. Był pijany.

Franek zdrętwiał. Wiedział iż teraz bicie go nie

ominie. Jedynym ratunkiem była ucieczka. Przyczaił się jak kot, śledził każde poruszenie swoich nieprzyjaciół. Ale Jędrzejakowa była sprytna. Nic nie mówiąc podeszła spokojnie do drzwi i zamknęła je na klucz.

Tymczasem Walczak usiadł na krześle i opuścił głowę na wyszmelcowaną kamizelkę!... Miał minę tak przygnębioną, że aż Jędrzejakowa spytała troskliwie.

— A wam co?...

— Nic—mruknął pod nosem.

Odeszła więc obrażona w głąb sutereny.

Naraz on zaczął mówić chwiejnym przerywanym głosem.

— Bo tak! Jak Boga mego kocham. Powiadam nie ma sensu! Po co?! Fabrykant ścierwo nie zbiednieje, a nas szkoda. Nie świętować!.. Nie świętować. A oni świętować, a ja nie świętować, rozumicie? Ja nie świętować. A oni: świętować, świętować! I tak myśmy się i nie zgodzili. Bo moja prawda, moja!

— Co nie moja?! wrzasnął naraz, jakgdyby mu kto zaprzeczał.

— Wasza, wasza—potaknęła śpiesznie Jędrzejakowa.

— A bo moja. Dlatego ja się i uparłem. Nie będzie strajku i nie było. Nie było chociaż próbowali, ale ja rzekłem: „Towarzysze, jak pragnę zdrowia, do mąki z temi strejkami". I nie było! A te psie krwie dzisiaj mi wyrok przysłali. Żeby ich cholera...

Drżącemi palcami zaczął rozwijać jakiś papierek. Położył na stole i przybił dłonią.

— O jest i pieczęć je. Wszystko co potrzeba.

Jędrzejakowa blada ze strachu patrzyła na niego z przerażeniem.

— Wyrok...

— A jakże wyrok. I pieczęć je. Zupełnie jak potrzeba—powtórzył apatycznie.

Zaległo takie milczenie, że słychać było, bzyka nie muchy, duszonej przez pająka.

Praczka była zmieszana. Sprzątała w milczeniu. Po pewnym czasie usiadła koło Walczaka, który trzymał się desperacko za głowę.

— Trza uciekać—rzekła.

— Łatwo gadać. Slin nie szkoda—warknął z niechęcią.

— No jakże, tak ręce opuścić i czekać zmiłowania Boskiego?

— Nijakiego zmiłowania mi nie trza.

— Ej nie grzesz—człowieku nie grzesz... Grzych to i potępienie wieczne.

Machnął ręką.

Dajcie pokój Jędrzejakowa. Ja już zgubiony człowiek... Ot moje życie—zawołał nagle płacząc.—35 lat charowałem jak ta sobaka parszywa — jak ten koń z doróżki—i co?... Co mam z tego? Ani pociechy!

Naraz powolnym ruchem wyjął portmonetkę i zaczął w niej dwoma palcami grzebać. Wyjął złotówkę i dwadzieścia groszy. Niedbałem ruchem rzucił na stół i rzekł, zwracając się do Franka:

— Sciągnij portki.

Tego dreszcz przeszedł. Przeczuwał, że dzisiaj Walczak rozgoryczony, zły, zdesperowany, bić będzie strasznie. Wtulił się więc między ścianę i komodę, nie mając zamiaru rozkazu wysłuchać.

— Wyłaź—powiedziałem—krzyknął Walczak odpinając pasa.

Franek milczał.

— Wyliziesz, czy nie?

— Ani myślę, ty ścierwo!—zawołał chłopak przez łzy, które mu płynęły do oczu.

— Cooooo?!—zapytał drapliwie.

— Bodajś zdech stary drable! Fimon, patrzcie go psia jego nędza. Będzie mię bił—krzyczał chłopak, już zalewając się łzami.

— Wyłaź złodzieju, pókim dobry!

— Com ci ukradł co? — płakał Franek pod komodą.

Ale Jędrzejakowa chciała mieć czyste sumienie. Schowawszy więc pierw pieniądze do kieszeni, zawołała.

Bijta go, Walczak, dzisiaj za mnie. Dobrego słowa mi nie dał. Ząb za ząb! Odszczekiwał jak ten pies.

— A co mi matka chciała odebrać pieniądze, matki dwa złote?

Walczak podszedł do kąta i wyciągnął za łeb opornego chłopaka.

— Będziesz ty się rodzicielce sprzeciwiał? Boskie przykazanie jużeś zapomniał? A masz!...

I zdzielił Franka pasem przez plecy.

Chłopak się skręcił we dwoje. Nie miał nic na sumieniu, ale wrzeszczał w niebogłosy:

— Oj nie będę, nie będę.

A na powalanej sadzami twarzy, Walczaka, osiadł się jakiś majestat godności. Walił z rozmachem powtarzając za każdem uderzeniem prawie czule:

— Matki nie szanujesz? odgadujesz? Ząb za ząb?!. Jak ten pies jaki? A masz! A masz, A masz!...

Wreszcie wypuścił z rąk Franka—który zalewając się łzami schował się czemprędzej za komodę. A Walczak usiadł ciężko i opuścił ręce zmęczony operacją!..

— To wszystko bez to, że sam jestem—rzekł po chwili cicho!.. Ot i przyjdzie umrzeć, a na moim grobie nawet na Wszystkich Swiętych—nikt świeczki nie zapali... Ani żony, ani dzieci.

Rozczulił się i brudną łapą rozmazywał łzy na twarzy...

— Sam jak ten palic jestem we świecie—powtórzył—a jak mnie bojowcy zaślachtują, to i nikt za trumną nie pójdzie...

Naraz rękę wpakował do kieszeni i rzucił na stół garść groszowych karmelków.

— Franek—zawołał—Franek. O—masz se zjedz!—zjedz!—Tylko mi matce nie odszczekuj—bo zobaczysz co będzie!...

Lecz Franek się nie ruszył ze swojej kryjówki, i cisza zaległa suterenę.

Stefan Kiedrzyński.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI.

M. Konopnicka. Pan Balcer w Brazylji, Warszawa. Wydanie Gebethnera i Wolffa 1910.

Jerzy Żuławski. Kuszenie Szatana. Opowiadania. Warszawa, Gebethner i Wolff.

W. Przyborowski. Przyczyny upadku Polski. Warszawa, „Nowości Literackie" Wyd. S. Sadowskiego.

WYDAWNICTWA GWIAZDKOWE.

A. Lange. Dwie bajki. Rys. J. Bratasiewicza. Warszawa „Gazeta Handlowa".

H. G. Wells. Wojna w przestworzu, Powieść z niedalekiej przyszłości. Przeł. St. Barszczewski. Z 12 rycinami Warszawa, Gebethner i Wolff.

Sprostowanie. W N-rze poprzednim w „Zapowiedzi na r. 1910" nazwisko p. Tadeusza Radwańskiego zamieszczone zostało przez pomyłkę.

TREŚĆ NUMERU.

Redaktor i wydawca **Wacław Nałkowski.** Drukarnia Artystyczna K. Kopytowskiego Nowy-Swiat 47.